“NONA VINCENT”

by Henry James

Tłumaczenie: Andrzej Ziółkowski

17 maja 2026

I.

– Zastanawiałam się, czy nie zechciałbyś mi tego przeczytać? – powiedziała pani Alsager, gdy zamierzał wstać od kominka, przy którym spoczywali. Spojrzała kątem oka na ogień, odsuwając rąbek swojej spódnicy od płomienia i wypowiadając swoje życzenie z nieśmiałą powagą, która dodawała jej uroku. Dla Allana Waywortha jej urok był zawsze wielki, jak cała atmosfera domu, który faktycznie był kwintesencją jego właścicielki. Panowała tu kojąca atmosfera, tak kusząca, że potrzebował kilku prób zanim był w stanie opuścić ten dom. Spędzał tu miłe chwile, w tym ciepłym, złotym salonie, chwile pozwalające zapomnieć o samotności i wielu innych zmartwieniach zachmurzających jego życie. Pobyt w tym domu był dla niego zaspokojeniem tęsknot, lekiem na wszelkie cierpienia, zacisznym portem, w którym mógł schronić się przed najgorszym sztormem. Jego życiowe problemy nie były tu niczym nieznanym, a jego osobiste przewagi, które tu doceniano, jeśli tylko mógł je zademonstrować, odznaczały się taką proporcją, że był on bardzo bystry jak na swój wiek i bardzo niezależny, jak na swój stan posiadania i stan cywilny. Allan Wayworth był kawalerem, miał dwadzieścia osiem lat, ale zdążył już zgromadzić trochę doświadczenia, był przepełniony ambicjami, dziwactwami i rozczarowaniami. Okazja, żeby porozmawiać z kimś w Grosvenor Place (to była nazwa domu pani Alsager), wydatnie poprawiała ciążącą mu nijakość życia w Londynie. Ta nijakość wynikała przede wszystkim z powszechnego braku zrozumienia dla jego literackiej postawy. Allan posiadał literacką postawę, a przynajmniej był przekonany, że ją posiada, szukał tylko pozytywnej oceny, dlatego pełne zrozumienia uznanie, jakie znajdował w domu pani Alsager, miało dla niego posmak słodkiego wsparcia, które było największym darem jakie pani tego domu mogła mu zaoferować. Ona, ze swej strony, była nawet bardziej literacko i artystycznie zorientowana niż on, żyła literaturą, była jej oddana, mógł więc z całą swobodą obnażyć przed

nią swoją artystyczną koncepcję (traktował to z powagą, jak profesjonalista), podczas gdy ta ujmująca kobieta, przepełniona wspaniałymi myślami, choć nie redagowanymi i nie opublikowanymi, stała tam przed wzbierającą falą jego artystycznych uniesień jak posąg nimfy stoi w fontannie, cierpliwie przyjmując strumienie wody rozbryzgujące się o marmurowy zbiornik.

Rok wcześniej znalazł się obok niej w czasie obiadu wydanego przez duże wydawnictwo prasowe, podczas którego udało im się zmienić czysto materialną atmosferę spotkania w intelektualną ucztę. Nie miała specjalnego powodu, żeby go do siebie zaprosić, poza tym, że go polubiła, co bardzo przypadło mu do gustu, tym bardziej, że zdążył się zorientować, jak wyjątkową jest ona osobą. Kierowała się własnymi upodobaniami w niezwykle swobodny i godny pozazdroszczenia sposób, tak że Wayworth gratulował sobie samemu, że znalazł się, przynajmniej na chwilę, w kręgu tych upodobań. Zatrzymał to odkrycie dla siebie, i nie było faktycznie takiej siły, która odciągnęłaby go od kobiety okazującej mu tyle życzliwości. Pani Alsager była ze swej strony tak bardzo oddana idei pomagania, że mogłaby popaść w zupełną apatię, gdyby jej tej przyjemności odmówiono. Jej mąż, który był dwadzieścia lat od niej starszy, znakomita osobowość w mieście i niemniej okazała w domu (gdziekolwiek stanął lub usiadł, przedstawiał się monumentalnie), był właścicielem połowy dużego wydawnictwa i wielu innych rzeczy w całości. Podziwiał swoją żonę, chociaż nie dała mu dzieci, za to, że była tak odmienna niż on sam; dzięki temu ich życie było dużo bardziej urozmaicone. Jego aspiracje nie miały granic, a popierając bezgranicznie również aspiracje swojej żony, ta nietuzinkowa para osiągnęła swoją pełnię życia i spełnienia. Jego pomysły były ordynarnie proste, z gruba ciosane, ale niektóre z nich miały szczęście być realizowane przez osobę o doskonałej delikatności. Jej delikatność pozwalała jej zabawiać się tymi pomysłami w najdziwniejszy sposób, ale dla niego nie było w tym nigdy przesady. Uciszała wszelkie wątpliwości małżonka bez udziału jego świadomości, bo jego świadomość koncentrowała się wyłącznie na spełnianiu jej woli. Możliwe, że bez niej mógł być finansowo potężniejszy, ale płacił tę cenę widząc, że wszyscy dookoła, nawet ci najmniej zaangażowani emocjonalnie, pozostawali w jakimś dziwnym zobowiązaniu dla niej, zobowiązaniu które wyrażało się w postawie niemal mistycznego szacunku. Ona sama czuła ogromną potrzebę poświęcenia swojej swobody i wolnego czasu dla innych i dla zaspokajania potrzeb własnej duszy – najpiękniejszych potrzeb, jakie znała. Potrafiła znaleźć je, jeśli potrzebowała takich poszukiwań, w setkach miejsc, a w szczególności na zacienionym i uświęconym terenie aktywnej dobroczynności – terenie zawoalowanym, na który narzuciła zasłony tak grube, że posunęlibyśmy się do bezczelności, gdybyśmy spróbowali uchylić choćby ich rąbek. Oddawała się również innych chwalebnym pasjom, a ponieważ zawsze marzyła o rzeczach pięknych, chwile, gdy takie marzenia

znajdowały się w zasięgu ręki, to był to moment, gdy mogła zerwać kwiat w ogrodzie sztuki. Kochała dzieło doskonałe – miała też artystyczny zmysł. Ale ten zmysł musiał być poruszony przez kogoś innego, tylko w ten sposób jej zachwyt mógł osiągnąć szczyt. Potrafiła zrozumieć radość tworzenia i nie ma potrzeby tłumaczyć, że sama również potrafiła coś stworzyć – ale tym, co tworzyła najlepiej, była atmosfera szczęśliwości. Lubiła iść swoją drogą, za wszelką cenę; ale to właśnie tu jej niezależność zawodziła. Nie miała głosu – tylko wizję. Dlatego jedyna zazdrość, jaką żywiła, wymierzona była w tych, którzy potrafili tworzyć sztukę.

Ale ponieważ wszystko w jej przypadku zamieniało się w łagodność, była również wspaniałomyślna dla tego rodzaju ludzi jako pewnej grupy społecznej. Wierzyła, że Allan Wayworth mógł coś stworzyć, lubiła słuchać, gdy mówił o swoich twórczych aspiracjach. Nie rozmawiał o nich z nikim więcej – ona zraziła go do innych. Ze swoją bujną urodą i taktownym wdziękiem była dla niego idealną publicznością i jeśli kiedykolwiek zwierzyłaby mu się, że chciałaby tworzyć (było to coś, o czym nigdy z nikim nie rozmawiała), nie pozostałoby mu nic innego, jak zapytać, dlaczego osoba z takim czarem i polotem nie miałaby spełnić swoich zamiarów. Nie miało znaczenia jaką formę mogłaby wybrać do tego celu: literatura? muzyka? Według niego, takiej wdzięcznej ekspresji nie powstydziłby się ani Szekspir ani Beethoven. Czuła wdzięczność za takie przyjazne zaangażowanie i nigdy nie okazała większej szczodrości niż tego dnia, jak zostało przedstawione na początku, gdy zachęciła go, żeby przyniósł i przeczytał jej swój dramat. Mówił o tej pracy wcześniej i pewnego ponurego listopadowego popołudnia, gdy czerwony ogień w kominku zachęcał bardziej niż kiedykolwiek do schronienia się w jego cieple, wszedł nagle do salonu oznajmiając – Skończyłem, skończyłem! – Kazała mu opowiedzieć absolutnie wszystko o swojej pracy – wykazała ogromne zainteresowanie każdym szczegółem, zadawała uroczo odpowiednie pytania. Prowokowała go do odegrania swojego dramatu, włączając się do tego przedstawienia, gdy tylko nadarzała się okazja. Kochała teatr, tak jak kochała każdy rodzaj ekspresji, jak wiedział, potrafiła udać się aż do Paryża tylko po to, aby zobaczyć pewne szczególne przedstawienie. Raz nawet pojechał razem z nią – wtedy, gdy zabrała ze sobą tę naiwną panią Mostyn. Czuła się poruszona, gdy odnalazła pewne aluzje w rękopisie, dała mu to do zrozumienia. Gdy tylko opuścił kurtynę po ostatnim akcie swojego przedstawienia, pośpieszył do niej aby podzielić się z nią swoją pracą, ale nie mógł z nią jeszcze ruszyć do teatrów, wciąż pracował nad ostatnimi poprawkami. Wreszcie, w dzień Bożego Narodzenia, według umowy, siedziała tu i słuchała go. Sztuka była w trzech aktach, prozą, ale raczej romantyczna w tonie, choć za przedmiot miała życie we współczesnej Anglii, a on sam wierzył, że osiągnął poziom jeśli nie mistrza, to przynajmniej celującego ucznia.

Allan Wayworth wrócił do Anglii gdy miał dwadzieścia dwa lata, po ukończeniu różnorodnych szkół na kontynencie; jego ojciec, wieloletni zagraniczny korespondent pewnego mało znanego londyńskiego magazynu, zmarł zaraz potem, pozostawiając żonę i dwie córki bez posagu, z niewielkim tylko dochodem na utrzymanie, w małym niemieckim miasteczku. Początki młodego autora w Londynie były trudne, a on dodatkowo pogorszył je poprzez swoją niechęć do dziennikarstwa. Mógł liczyć na pewną pomoc w zawodzie dziennikarza z uwagi na przyjaciół ojca, ale był on (do granic zdrowego rozsądku, jak twierdzili wszyscy jego przyjaciele, z wyjątkiem pani Alsager) *niereformowalny* na punkcie formy. Forma - odpowiadająca jego kryteriom - nie miała żadnego wzięcia w angielskich gazetach, a on z kolei, nie chciał pisać tak, jak wymagano. Faktycznie, zapotrzebowanie na jego formę nigdzie nie było zbyt duże, Wayworth spędzał bezproduktywne tygodnie na polerowaniu swoich krótkich artykułów dla magazynów, które płaciły za treść a nie formę. Jedyną osobą, która była skłonna zapłacić, była pani Alsager: ze swoim niezawodnym zmysłem do perfekcji i dobroczynności. Płaciła na swój sposób, ale ponieważ Allan Wayworth był autorem, który musiał zarabiać na życie, wtedy gdy wydawnictwo nie było zainteresowane jego pracą, mógł liczyć na szczodrą rękę pani Alsager. Miał swoje ograniczenia, pewne zaburzenia, ale jego dobre strony na ogół przeważały, a poza tym pozostawał niestrudzony i poważny w tym, co robił. Jednak wrażenie, jakie na niej robił interesuje nas tutaj szczególnie: uważała go nie tylko za bardzo przystojnego, ale również oryginalnego w pozytywnym tego sowa znaczeniu. Były pewne powszechne złe rzeczy, których nigdy nie robił, było wiele brudnych kałuży, które potrafił omijać na swojej drodze do sukcesu.

Jeśli chodzi o niego samego, to najszczęśliwszym momentem w jego życiu był ten, gdy wybrał swoją drogę, i mocno w to wierzył, wtedy, gdy tę drogę odkrył, ale która teraz przedstawiała mu się w innym świetle, gdy patrzył na sprawy od środka. Miał za sobą ciężkie dni pogardy dla tej drogi, drogi, którą postrzegał jako klejnot, niekoniecznie doskonały, ukryty w stercie nawozu, kryształ świecący spod warstw nikczemności. Dostęp doń był obwarowany wieloma trudnościami, czasami targało nim zwątpienie, że kryształ ten nie jest wart poświęceń i cierpienia. Człowiek pióra, zmuszony do obcowania z tą nikczemnością, musiałby zapomnieć o całej literackiej ogładzie, tak jakby ktoś z arystokratycznym nazwiskiem miałby nagle zaprzeć się swojego imienia i całego wiekowego dziedzictwa. Jednak wrażenia ewoluują w zależności od punktu widzenia: Wayworth przebudził się pewnego dnia w zupełnie innym łóżku. Nie ma potrzeby śledzić tej przemiany od jej źródeł; mogłoby to być interesujące dla obserwatora młodych lat i tego, kto próbuje analizować pewne psychologiczne konsekwencje. Faktem jest, że zmiana przyszła (jak wyznawał sam przed sobą) pod wpływem niecodziennej rewelacji, która stwo-

rzyła go na nowo, na wzór kogoś, kto znalazł swoją prawdziwą miłość. Anioł uchwycił go za rękę i poprowadził do pozornie obskurnych drzwi, które prowadziły, jak się okazało, do wnętrza bogatego a jednocześnie skromnego. Koncepcja artystyczna była wyśmienita, gdy została ostatecznie sformułowana i nazwana: odkrył dramat - gatunek posiadający dla niego aspekt czystości, który sprawiał, że inne gatunki wyglądały przy nim haniebnie prostacko. Gatunek posiadający jakość typową tylko dla nauk ścisłych, jak matematyka czy architektura. Gatunek przepełniony jasnością obliczeń i konstrukcji, doskonałością linii i jednoznacznych reguł. Sztuka dramatu była dla niego naga, ale dumna, uboga, ale szlachetna; przypominała mu średniowiecznych władców wsławionych sprawiedliwością, pozbawione korupcji dwory. Dramat zawierał co prawda niepokojący poziom umowy, ale to, co było najważniejsze, to, cechująca go niespotykana intensywność środków wyrazu. Dramatopisarz, jak kapitan statku, musiał nieustannie wyrzucać za burtę każdy balast, żeby ratować łódź, ale jaką szybkość ta łódź mogła wtedy osiągnąć, żeby przemierzać fale - szybkość nacechowaną rytmem, jak taniec klasycznej bogini! Wayworth myślał o tych rzeczach w trakcie długich przechadzek po Londynie - a miasto wciskało w jego uszy wszechmocny szmer inspiracji. Jego wyobraźnia gorzała i topiła materię, pomnażała jego artystyczne intencje i tworzyła aurę złotej mgiełki. Widział nie tylko rzeczy, które powinien zrobić natychmiast, ale też następne i następne i następne; przyszłość otwierała przed nim niezliczone szlaki a on czuł się tak, jakby stąpał po marmurowych płytkach. Im głębiej wnikał w dramat, tym bardziej go kochał, więcej mu się przyglądał, bardziej go rozumiał. To, co dostrzegał w dramacie, dostrzegał wszędzie; gdy się zatrzymywał, w Londyńskim zmierzchu, przed jakąś barwną sklepową wystawą, natychmiast stawała się ona dla niego sceniczną scenografią, miejscem dla jego dramatycznych postaci. Potem pracował ciężko nad tymi postaciami w swoim samotnym pokoju, kształtował je i budował ich wewnętrzne świątynie; był jak jubiler cyzelujący najdrobniejszy detal, pochylony nad swoją pracą, z pasją do osiągnięcia perfekcji. Wtedy, gdy nie tworzył swoich wizji przemierzając londyńskie ulice, gdy nie rozważał dramatycznych zagadnień siedząc przy swoim biurku - spędzał czas w towarzystwie pani Alsager, domagającej się więcej i więcej, a on, chcąc dać jej zabawę i radość, dawał jej wszystko.

Jej oczy były pełne łez, gdy odczytywał jej ostatnie linijki ukończonej sztuki. Szeptała zauroczona:

– A teraz tylko na scenę, na scenę!

– No właśnie, na scenę! – Wayworth wpatrywał się w buzujący w kominku ogień, zwijając w rulon swój manuskrypt. – Ale to zupełnie inna rzecz i w zasadzie drugorzędna.

– Ale rozumiem, że chcesz sztukę wystawić?

– Oczywiście chcę, ale to jakby zejść poziom niżej. Bardzo bym chciał ją wystawić i żałuję, że chcę.

– To prawda, dopiero teraz zaczynają się trudności, – powiedziała pani Alsager, trochę impulsywnie.

– Niech pani tak nie mówi, proszę. Dramat jest skończony!

– Ale poczekaj i zobaczymy jak się skończy przedstawienie!

– Chciałem powiedzieć, że to zmienia sztukę w coś zupełnie innego, – Wayworth wyjaśniał. – Wydaje mi się, że nie ma w świecie nic trudniejszego niż napisać sztukę, która wytrzyma każdy sprawdzian, a trudności wynikające z inscenizacji są raczej trudnościami mniejszego rodzaju.

– Masz rację, nie są one inspirujące, – odparła pani Alsager; – są zniechęcające bo są przyziemne. Z drugiej strony, pisanie dramatu, to czysta sztuka.

– Jak wspaniale pani wszystko rozumie! – Młody człowiek czuł potrzebę żeby wstać, poddenerwowany i odwrócony plecami do ognia oparł się o kominek, splatając ręce na piersi. Jego rękopis ściśnięty w garści. Popatrzył na panią Alsager, uśmiechnął się z wdziękiem na jaki potrafił się zdobyć, a ona odpowiedziała uśmiechem z oczami wypełnionymi urokiem i spełnieniem.

– Tak, teraz zacznie się przyziemność. – Dodał niespodziewanie.

– Będziesz cierpiał niepomiernie.

– Ale będę cierpiał za dobrą sprawę.

– Tak, pokazać to światu! Musisz zostawić mi rękopis. Chcę to czytać i czytać wiele razy. – Domagała się pani Alsager, wstając i zbliżając się do niego. Pochwyciła manuskrypt oprawiony w zielonkawo-szary papier, wciąż jego, ale teraz w innych rękach. – Kto mógłby ją wystawić? Kto może to zrobić właściwie? – kontynuowała, pozostając blisko niego, przewracając kartki. Zanim zdążył odpowiedzieć, zatrzymała się na jednej stronie. – To najpiękniejszy fragment - te wersy są doskonałe. – Spojrzał na stronę w miejsce wskazywane przez jej palec, a ona poprosiła go, żeby odczytał ten fragment jeszcze raz - fragment, który czytał wcześniej. Znał go na pamięć więc zamknął rękopis, który ona cały czas trzymała w ręce i wyszeptał słowa do jej ucha - w rzeczy samej, wersy posiadały melodię i rytm i był z nich dumny - z radosnym samozadowoleniem, które, jak miał nadzieję, było wybaczalne, wyczytał w jej oczach uznanie.

– Ach, któż mógłby napisać takie słowa? – pani Alsager powiedziała z naciskiem; – czy dasz radę znaleźć kogoś, kto ją pokaże?

– Będę szukał takich, co to zrobią!

– Ale takich, którzy naprawdę są tego warci!

– Będą warci wystarczająco, jeśli będą chcieli to zrobić. Ja będę z nimi pracował, ja ich we wszystko wprowadzę. – Mówił tak, jakby miał za sobą doświadczenie co najmniej dwudziestu przedstawień.

– Och, to będzie fascynujące! – odpowiedziała jak echo.

– Najpierw muszę mieć właściwą scenę. Muszę znaleźć dyrektora, który we mnie uwierzy.

– Tak, oni są tacy materialnie przyziemni!

– Ileż cierpliwości będę potrzebował, pokazywać im i czekać, – powiedział Allan Wayworth. – Czy może sobie pani wyobrazić mnie, frymarczącego sztukę po Londynie?

– Rzeczywiście, nie potrafię sobie tego wyobrazić, to będzie osłabiające.

– A to jest to, co muszę zrobić. Zestarzeję się zanim sztuka będzie wystawiona.

– A ja zestarzeję się, jeśli sztuka nie będzie wystawiona w krótkim czasie! – wykrzyknęła pani Alsager. – Znam paru z nich. – Dodała zamyślona.

– Ma pani zamiar rozmawiać z nimi?

– Chodzi o to, żeby zachęcić ich do przeczytania sztuki. Mogę to sprawić.

– Nie śmiem prosić o więcej. Ale wciąż, będę musiał czekać.

Spojrzała na niego łagodnym, siostrzanym niemal wzrokiem.

– Nie będziesz czekał.

– Ach, pani jest taka wspaniałomyślna! – Wayworth wykrzyknął.

– To znaczy ty może będziesz musiał poczekać, ale ja nie mam zamiaru! Czy zostawisz mi rękopis? – zapytała, powracając do przewracania stron.

– Oczywiście, mam drugą kopię.

Stojąc blisko niego, czytała po cichu jakiś fragment tu i tam; a potem, swoim słodkim głosem, odczytała jeden na głos.

– Ach, gdyby była pani aktorką, – młody człowiek był podekscytowany swoim pomysłem.

– Nigdy w życiu. Nie mam komediowego zmysłu.

Patrzył na nią, na swojego dobrego ducha.

– To może dramatyczny? – zapytał tak, jakby to było tylko retoryczne pytanie.

Słysząc je, odwróciła się od niego z niespodziewanym, ale uroczym śmiechem, mówiąc:

– Może sam powinieneś sobie odpowiedzieć, – ale zanim zdążył odżegnać się od takiej zuchwałości, spojrzała na niego i zmieniła temat na Nonę Vincent, o której mówiła tak, jakby była ona najbardziej interesującą osobą w gronie jej przyjaciół i na intrygę, która w tym momencie przemawiała do jej uczuć ze zdwojoną siłą. Nona Vincent była bohaterką dramatu i pani Alsager żywiła ogromną sympatię do tej postaci.

– Trudno mi wyrazić jak bardzo lubię tę kobietę, – powiedziała z naciskiem i nagłym przypływem ufności, który musiał być bardzo kojący dla jego artystycznej duszy.

– Bardzo mnie to cieszy, że mówi pani o niej, jak o realnej postaci. W moim przekonaniu, jest ona bardzo do pani podobna. – Wyznał Wayworth.

Jego słowa zaskoczyły ją, jej policzki nabrały rumieńców. Rumieniec nie był efektem zaskoczenia, ale też nie potraktowała tej uwagi jako żart.

– Podobieństwo nie jest zbyt duże. Ja nie postępuję tak, jak ona.

– To nie chodzi o to, co ona robi, – przekonywał młody człowiek, naciągając wąsa.

– Ale to, co ona robi jest najważniejsze. Ona opowiada o swojej miłości, ja bym się nigdy na to nie zdobyła.

– Jeśli nie może pani zaakceptować takiej postawy, za co właściwie ją pani lubi?

– Za nic. To niezupełnie to.

– W takim razie, co? Jej zachowanie jest tak silnie charakterystyczne.

Pani Alsager pogrążyła się w myślach, nie przestając patrzeć w ogień buzujący w kominku, sprawiała wrażenie jakby miała pół tuzina odpowiedzi do wyboru. Ale ta, którą wybrała była nadspodziewanie mało skomplikowana; możliwe, że rodzaj desperacji sprawił, że nie potrafiła zdobyć się na inną.

– Lubię ją, ponieważ ty ją stworzyłeś! – wyrzuciła z siebie ze śmiechem, odsuwając się od mężczyzny.

Wayworth zaśmiał się jeszcze głośniej niż ona.

– Teraz jest pani jeszcze bardziej do niej podobna. Ja rzeczywiście chciałem, żeby wyglądała jak pani.

– Powinna wyglądać lepiej niż ja, – powiedziała pani Alsager. – Nie, z pewnością nie, ja nie powinnam robić tego, co ona robi.

– Nawet w takich samych okolicznościach?

– Nigdy nie powinnam się znaleźć w takich samych okolicznościach. To bardzo osobisty dramat i nie ma nic wspólnego z życiem takie, jak moje. Chociaż – pani Alsager kontynuowała, – jej zachowanie pasuje do niej i jest nie tylko naturalne, ale, ja to tak widzę, najzupełniej szlachetne i piękne. Trudno mi znaleźć odpowiednie słowa, żeby opisać talent i takt, z jakim zmuszasz czytelnika, żeby ją zaakceptować, powiem otwarcie to, co jest dla mnie oczywiste: musi być wspaniała przyszłość przed młodym człowiekiem, który, debiutując, był w stanie stworzyć tak silne wrażenie. Na szczęście potrafię docenić Nonę Vincent tak bardzo, bo ja nie jestem do niej podobna.

– Proszę, niech pani nie przesadza, – odparł Allan Wayworth.

– W moim zachwycie?

– W pani braku podobieństwa. Ona ma pani twarz, pani minę, pani głos, ruchy; ona jest jak pani na wiele sposobów.

– Więc ona będzie przekleństwem dla twojej sztuki! – odparła pani Alsager. Był to oczywiście żart, ale w nie najlepszym tonie i gospodyni Waywortha szybko dodała: – Ale możesz temu zaradzić: musisz znaleźć odpowiednią obsadę do tej roli.

– Och, chciałbym, żeby to była pani, – młody człowiek nalegał uprzejmie.

– Rozumiem, co masz na myśli, poczciwy przyjacielu. Naprawdę żałuję, taka wspaniała rola - jednak to szansa dla bystrej, poważnej młodej kobiety. “Nona Vincent” to bardzo intymna historia - ale to będzie należało do aktorki, żeby ponieść ją wysoko, albo zepchnąć w niziny.

– Czarująca perspektywa, – powiedział Allan Wayworth z nagłym powątpiewaniem.

Wymienili spojrzenie, które przelotnie ukazało jego najgorsze obawy; ale zanim się rozstali, zapewnili się nawzajem potwierdzając swoje oddanie dla ideału sztuki. Nie można jednak wykluczyć, że perspektywa, którą pani Alsager pomogła mu sobie uświadomić, mogła uczynić go bardziej bezradnym.

Robił to, co mógł i czuł, że ona, ze swej strony, robiła nie mniej; ale z końcem roku był zmuszony przyznać, że ich wspólny wysiłek przyniósł jedyny efekt w postaci jasnego kwiatu zniechęcenia. Pod koniec roku blask przybladł w jego własnych oczach, arcydzieło spowszedniało bez większego uznania i sam musiał podjąć się nudnej pracy pisania dla wydawcy słownika biograficznego krótkich życiorysów znanych postaci, o których sam nigdy nie słyszał. Aby coś opublikować, cokolwiek, gdziekolwiek, było rodzajem pocieszenia dla dramaturga, który nie był w stanie wystawić swojej sztuki, a dochód, mizerne stawki oferowane przez wydawnictwo encyklopedyczne, powodowały, że czuł się zrezygnowany i umysłowo wyprany. Nie mógł przemycać swojej formy do słownika, ale mógł przynajmniej zdobyć świadomość, że zrobił wszystko, co mógł, ucząc się na własnych błędach, że przemycanie formy jest niewybaczalną beztroską niemal wszędzie. Pukał do drzwi prawie każdego teatru w Londynie i inwestując, niemal do osobistego bankructwa, mnożył kopie “Nony Vincent” aby zastąpić te, które ginęły w przepaściach dyrektorskich biur. Nie odrzucano jego sztuki zupełnie, dawano mu pochlebne zapewnienie, że jego praca jest czytana. Co dyrektorzy mogli zrobić dla pani Alsager, nie zaprzątało jego myśli za bardzo w te dni; najważniejsze było to, że nie chcieli zrobić nic dla niego. Czarująca kobieta musiała czuć się upokorzona mając tak znikomy odzew ze strony tych, na których liczyła. Teraz nie rozmawiali o sztuce wcale, ale on, niezmiennie, okazywał jej tyle samo przyjaźni, jak zazwyczaj, nie pozwalając jej myśleć, że uważa, że go zawiodła. Wciąż też włóczył się po Londynie ze swoimi marzeniami, ale teraz nie tyle marzeniami o sukcesie, raczej o zemście. Sukces stracił dla niego barwy w miarę oczekiwania, wydawał mu się za małą nagrodą za jego tytaniczną cierpliwość; zrodziło się w nim coś nowego, coś krwistego, coś burzliwego. Ale wciąż najwięcej pocieszenia znajdował w rozmyślaniu o scenie; to właśnie w tym czasie odkrył jak bardzo kocha teatr. Minęły dwa lata, w czasie których zaczął nawet odczuwać irracjonalną satysfakcję z faktu braku zainteresowania dla jego pracy. Żył w świecie postaci i sytuacji, to były jego najszczęśliwsze chwile; napisał kolejną sztukę i starał się, żeby była zupełnie inna niż poprzednia. Może

była nawet lepsza, ale gdy przedstawił ją w teatralnych biurach, nie zrobiła żadnego odmiennego wrażenia i tak jak pierwsza, przeszła bez echa. Opuścił Anglię na kilka miesięcy, jak tylko mógł sobie na to pozwolić; pojechał odwiedzić matkę i siostry.

Krótko przed opuszczeniem Niemiec, otrzymał telegram od pani Alsager składający się ze słów: "Loder chce się z tobą spotkać - zaczyna pracę nad "Noną" natychmiast." Ostatnie godziny za granicą spędził na pożegnaniach z siostrami i matką, która, okazało się, znała panią Alsager, ale powątpiewała, czy ta zamężna kobieta może rzeczywiście być pomocną dla jej syna, spekulowała o marnych szansach w Londynie.

Loder, jak nasz młody autor wiedział, był dyrektorem nowego *Renaissance*, ale gdy dotarł do domu wieczorem, pierwsze swe kroki skierował nie do tego nowoczesnego teatru. Wieczór spędził u pani Alsager, godzinę, która wypełniona była kalkulacjami. Oznajmiła mu, że pan Loder jest czarujący, że wybrał jego sztukę jako następny punkt w repertuarze jego teatru; że wiązał z nią pewne nadzieje, a co więcej, biorąc poprawkę na typowy dla tego zawodu pesymizm, jego stosunek do tekstu można by nawet określić jako ekstatyczny. Sztuka była już obsadzona, z niewielkimi wątpliwościami, że Violeta Grey dostała rolę tytułowej bohaterki. Miała ku temu predyspozycje, właśnie skończyła pracę w tym obskurnym teatrzyku *Legitimate*, po zmianach w obsadzie, ale przynajmniej była na fali. Wayworth pamiętał Violetę Grey, spędził dużo czasu w teatrach w ciągu ostatnich dwóch lat, rozważając najlepszą obsadę do roli Nony. Nigdy nie brał jej specjalnie pod uwagę. Prawda, była urocza i na swój sposób oryginalna, ale nigdy nie uważał tych zalet za wystarczające, a poza tym nie był do końca przekonany do jej profesjonalnej osobowości. Pani Alsager była innego zdania - oświadczyła, że pewne jej zalety zrobiły na niej bardzo dobre wrażenie. Sprawiała się dobrze w tej sztuce w *Legitimate*, a pan Loder, który wybrał ją osobiście, opisał ją jako ambitną i inteligentną. Bardzo jej na roli zależało, a przecież aktorki są zazwyczaj takie kapryśne! Wayworth pozostawał sceptycznie nastawiony - widział Violetę Grey w wielu teatrach, bo zmieniała ona miejsce pracy często, ale na ogół była to jedna, charakterystyczna rola. Nona Vincent była dużo bardziej interesująca i miała pozostać w jednym teatrze; ale obiecał, gnany gorączką wystawienia sztuki, przyjrzeć się aktorce następnego dnia. Z rozmowy z panią Alsager wynikało jasno, że próby mają się zacząć bezzwłocznie. Perspektywa, że jego sztuka w końcu znajdzie się na scenie sprawiała, że uciszył w sobie wszelkie wątpliwości; ale postanowił być wymagający, aż do premiery, bezkompromisowy, aktorzy muszą się dokładnie trzymać jego tekstu, a oprawa sceniczna ma być dopracowana w każdym szczególe.

Dzień później uświadomił sobie, że niebezpieczeństwo, jakie na niego czyha może być jeszcze innego rodzaju, ale nie umiał tego niebezpieczeństwa

nazwać. Niebezpieczeństwo tam było, bez wątpienia – niebezpieczeństwo czai się wszędzie w świecie sztuki, a jeszcze bardziej w świecie biznesu; a to, co on w tej godzinie pragnął usłyszeć, to był długo oczekiwany trzepot skrzydeł zwycięstwa. Nic nie mogło mu w tym przeszkodzić, było to zwycięstwo, które należało zrealizować. Zwycięstwo musi być, nawet jeśli odegrane źle; to przekonanie nie uwolniło go, w tym wykalkulowanym optymizmie, od użycia słowa "źle". Nawet jeśli nie miało zastosowania w praktyce, zmuszającej do kompromisów; nawet jeśli nie odnosiło się do jego sztuki, która, w jego świadomości, przetrwała próbę czasu, przewidywał, że częste ataki paniki będą się przeplatać, w jego uczuciach, z równie częstymi chwilami samozadowolenia. Gdy wreszcie znalazł się w ocienionym wnętrzu teatru (łukowe sklepienie górowało nad nim jak świątynia sławy) pan Loder, który okazał się dokładnie tak czarujący, jak pani Alsager obiecywała, ujął go swoją uprzejmą gościnnością. Dyrektor wyjaśnił dlaczego tak długo nie dawał odpowiedzi; ale to była ostatnia rzecz, która interesowała Waywortha, później nie umiał sobie nawet przypomnieć, jakie argumenty pan Loder przedłożył. Podobało mu się, ogólnie rzecz ujmując, całe zamieszanie wywołane dyskusjami i przygotowaniami, również to, co jak się spodziewał, nie będzie mu się podobać, był pełen zachwytu dla tego, co spodziewał się lubić. Obserwował tego wieczora panią Violetę Grey oczami, które starały się przeniknąć i poznać jej możliwości. Z pewnością posiadała kilka; miała dobry głos i wyraz twarzy, możliwe, że była też inteligentna; w każdym bądź razie, siedział tam z napiętą koncentracją, powtarzając sobie samemu, że przecież było w niej coś ponadprzeciętnego, fakt niezwykle istotny, gdyż uważał, że rola, która została jej powierzona, jest daleka od przeciętności. Spodziewał się, że właśnie to musi spodobać się publiczności; wierzył, że jego protagonistka, a nie aktorka, przyciągnie całą uwagę. Nie uwolnił się też od osobistej paniki, zastanawiając się, czy jeśli publiczność polubi aktorkę, to w jaki sposób będzie mogła polubić bohaterkę i charakter, jaki on jej nadał. Ten charakter był teraz jego największym zmartwieniem. Gdy wieczorna próba dobiegła końca, niektóre z cech Violety Grey, niektóre ruchy głową, pewne wibracje w jej głosie, zakwalifikował do tej samej kategorii. Ona była interesująca, potrafiła się wyróżnić; z całą pewnością mógł ją zaakceptować: aktorka dopasowała się do roli. Ale opuścił teatr nie zamieniwszy z nią nawet słowa - poruszony (nawet trochę ku własnemu zaskoczeniu) przez pewien przedłużający się impuls. Następnego dnia miał odczytać swoje trzy akty dla całego zespołu, spodziewał się, że będzie miał dużo do wyjaśniania; bał się, czy wystarczy mu samozaparcia. Co więcej, w pewne zakłopotanie wprawiał go fakt, że chociaż starał się przez cały wieczór patrzeć na Nonę Vincent uosobioną przez Violetę Grey, to raczej widział Violetę Grey uosobioną przez Nonę. Nie starał się widzieć aktorki w sposób bezpośredni, ani nawet w tak prosty; i było to dla niego powodem zmęczenia,

ten wysiłek aby koncentrować uwagę na Nonie poprzez wykonawcę i poprzez scenę bardziej typową dla *Legitimate*. Zanim udał się tej nocy na spoczynek, posłał pani Alsager krótki list: "Ona nie jest dokładnie, jak powinna, ale ośmielę się twierdzić, że potrafię ją poprowadzić w tym kierunku."

Następnego dnia był zadowolony z tego, że aktorka słuchała uważnie w trakcie odczytywania sztuki; właściwie to był zadowolony z wielu rzeczy, a przede wszystkim był zadowolony z własnej interpretacji. Cała intryga przenikała jego ton a on starał się ją wyeksponować i nakreślić w każdym szczególe. Czuł satysfakcję w tym dużym, nieco mrocznym teatrze, przepełnionym echami "wrażenia" jakie zrobił i lekkim zapachem gazu i sukcesu - wszystko to tworzyło pasywną kanwę dla obrazów, które odmalowywał. Pierwszy raz w życiu był w mocy nad swoim materiałem; znał się na frazowaniu, ale obawiał się, że nie będzie umiał włożyć odpowiedniego uczucia w swoje czytanie. Był zaskoczony gotowością Lodera do spełniania jego artystycznych życzeń, ale starał się tego zaskoczenia nie okazywać. Czuł i wiedział, że aby wystawić dramat na scenie, potrzebne jest połączenie dwóch artystycznych sił: jednej składającej się w dużej mierze z gniewu, a drugiej z zabawy. Analizował potem swoje czytanie, jako najlepsze chwile jakich doświadczył dotychczas w tym przedsięwzięciu, głównie dlatego, że to w trakcie czytania uświadomił sobie najmocniej siłę wyrazu swojego tekstu. Potem miała przyjść praca innych; ale czytanie, ze wszystkimi niedoskonałościami i potknięciami, było jego własne. Dramat ożył, w każdym bądź razie, na tę godzinę, z intensywnością którą miał natychmiast stracić w przyziemności prób; widział to życie odbite jak w zwierciadle, w sposób, który bał dla niego bardzo miły, gdy widział ten półokrąg grupy aktorów, słuchających z uwagą i przenikliwością, aktorów autentycznie zaprawionych w bojach. Pani Violeta Grey była tą aktorką, której miał najwięcej do przekazania, próbował od razu na miejscu, poprzez prowizorycznie zorganizowaną scenografię, zaszczepić w niej serce do tej roli. Jej postawa była wdzięczna, ale pomimo tego, że zdawała się słuchać jego uwag otwartymi uszami, jej twarz pozostawała doskonale pozbawiona wyrazu; co nie zniechęcało Waywortha ani trochę, bo wolał on żeby aktorka dojrzewała do roli powoli. Pozostali aktorzy reagowali prawidłowo w miejscach, gdzie dramat przybierał bardziej komediową formę; ale Waynworth wybaczał jej, gdy nawet wtedy pozostawała bez wyrazu. Najwidoczniej chciała być absolutnie pewna co do przesłania, jakie niosły słowa.

Jeszcze bardziej zaskoczyła go reakcja Lodera, który, na niespodziewaną skalę, był cały czas gotowy polemizować z aktorami, którzy zgłaszali zastrzeżenia do swoich kwestii, tracił animusz, gdy starał się rozstrzygnąć jak powinien postąpić z tymi, którzy nie potrafili zrozumieć jego artystycznych intencji. To było pierwsze z jego rozczarowań; z jakiegoś powodu spodziewał się, że każdy biorący udział w przedstawieniu będzie natychmiast i z wdzięcz-

nością świadomy szansy, jaką otrzymał, a gdy te oczekiwania zawiodły, poczuł się jak opuszczony na pełnym morzu rozbitek, a co więcej, spodziewał się, że więcej rozczarowań jest jeszcze przed nim. Nie potrafił zdecydować, co podobało się dyrektorowi, a co nie; nie wyraził on żadnych opinii, żaden komentarz nie wymknął się z jego ust; zaakceptował sztukę i opinie autora, jak powinna być zrealizowana, to najwyraźniej uczyniło go enigmatycznym i zdeterminowanym. Wayworth wyczuł, że jest w stanie ogarnąć zamysł i wspólnie, popchnąć relacje z dyrektorem we właściwym kierunku, ku wyżynom, nadać im bardziej wyraziste kształty, wznieść się ponad kurtuazję i ufne komplementy. Gdy rozmawiał z Violetą Grey po czytaniu, uświadomił sobie, że była ona raczej prostolinijna: co mogło bardziej go w tym odczuciu utwierdzić niż brak natychmiastowej i pełnej uznania reakcji na szansę, jakiej jej udzielono? A jednak ta powściągliwość najwyraźniej nie miała nic wspólnego z pretensjami wyższego lotu; nie próbowała pokazać, że osoba na jej poziomie artystycznym musi pozostać wolna od okazywania prostych uczuć. Domyślił się po pewnym czasie, że była ona zmieszana, a może nawet strwożona - do pewnego stopnia - czymś, czego nie potrafiła jeszcze do końca zrozumieć. I nic nie cieszyłoby go bardziej niż okazja do wyjaśnienia jej wszelkich wątpliwości, zwłaszcza, że w trakcie rozmowy okazało się, że to, co zdołała zrozumieć, zrozumiała opacznie. Jeśli miała taki prosty umysł, to był to tylko następny powód, żeby z nią rozmawiać; nie ustawał w prośbach: "Zapytaj, po prostu zapytaj: pytaj o wszystko, co przyjdzie ci na myśl."

Pytała więc, zadawała mnóstwo pytań i w ciągu pierwszych prób, które jeszcze nie mogły przybierać ostatecznego kształtu sztuki, które były puste do tego stopnia, że widział je raczej jako niepowodzenie eksperymentu niż początek świetlanego sukcesu, przerabiali każdą rzecz z osobna, gdzieś w odległym kącie sceny, z tym efektem, że utwierdził się w przekonaniu, że przynajmniej była w swojej postawie uczciwa. Coraz mocniej czuł, że jego bohaterka jest głównym tematem dramatu, a aktorka zdawała się być przygotowana do tego, żeby ten ciężar unieść. Ale gdy przypomniał młodej artystce o ważności jej roli, że cała sztuka osadzała się na niej, okazała zdenerwowanie i prawie oburzenie; wyraziła parę razy opinię, że to nie jest najlepszy sposób, żeby budować dramat - żeby wszystko zależało tylko od jednej postaci i obarczać całą odpowiedzialnością jedną, biedną, wrażliwą dziewczynę. Była w tym prawie chorobliwie sumienna i, teoretycznie, lubił ją za to, pomimo tego, że dwa albo trzy razy stracił cierpliwość, gdy potrafiła albo nie potrafiła czegoś zrobić. W takich chwilach łzy napływały jej do oczu; ale był to efekt jej własnej naiwności, jak go zapewniała, nie sposobu, w jaki do niej przemawiał, który uważała za bardzo uprzejmy, biorąc pod uwagę okoliczności. Jej powaga dodawała jej wdzięku, a on życzył sobie (i nawet jej o tym napomknął) żeby wlała trochę tej powagi w postać Nony. Zdarzyło się

też, niemniej, gdy kolejny raz była głęboko poruszona i zakłopotana, że na chwilę łzy niemal pojawiły się w jego oczach; i w takim momencie, jak chciał przypadek, odwrócił się aby ukryć swoje emocje i znalazł się twarzą w twarz z Loderem. Dyrektor spojrzał ze zdziwieniem, rzucił spojrzenie na aktorkę, która pozostawała obrócona w przeciwnym kierunku, a potem, uśmiechając się do Waywortha, wykrzyknął z humorem kogoś, kto słuchał śmiechu z teatralnych loży każdego wieczora:

– No proszę, no proszę!

– O co chodzi? – zapytał Wayworth.

– Cieszę się, że pani Grey dokłada takich starań.

– Och tak, robi, co w jej mocy, – odparł młody autor wesoło. Był przekonany, że nie przesadzał w swoim traktowaniu protagonistki, całkowicie oddany idei, że próba nie powinna tracić siły oddziaływania, odbiegając od tematu dramatu.

Pani Alsager, którą odwiedzał późnymi popołudniami, z którą wypijał popołudniową filiżankę herbaty, dziękując jej z wyprzedzeniem za komfort odpoczynku, jaki mu dostarczała, opowiadając jej, jak próba (pomijał niektóre szczegóły pracy z aktorką) wyczerpywała go - a ona, będąc coraz bardziej jego dobrym duchem, jego wiodącym aniołem, utrzymywała go w jego nadrzędnej postawie i ponaglała do wszelkich artystycznych poświęceń. Oczywiście, teraz była jeszcze bardziej ciekawa jego pracy; chciała słyszeć wszystko o wszystkim. Traktowała go jak zmęczonego bohatera, rozpieszczała luksusowymi łakociami, kazała mu się układać na kanapie, na poduszkach i różanych płatkach. Plotkowali jeszcze bardziej niż zazwyczaj, przy kominku, o życiu artystycznym; on powierzał jej, na przykład, wszystkie swoje nadzieje i obawy, opisywał jej swoje eksperymenty i niepokoje, w temacie kreowania Nony. Pani Alsager była szczególnie zainteresowana młodą aktorką, okazywała to zainteresowanie, uczestnicząc w próbach jako widz (odwiedziła teatr co najmniej pół tuzina razy) studiując talent Violety Grey poprzez nową rolę, którą kreowała. Podobnie jak Allan Wayworth, widziała ją jako odpowiednią do roli ale tylko w niektórych fragmentach, bo odnotowywała też jej słabsze strony. Widziała jej inteligencję jednak postulowała więcej ćwiczeń, ten brak praktyki był tak widoczny, że przesłaniał walory intelektualne. Była jak nienaostrzony nóż - jak to ujęła - dobra stal, która nigdy nie była ostrzona; łamała powszedni chleb pracy dramatycznej, ale nie była w stanie ukroić gładkiej kromki.

II.

– Z pewnością, moja wiodąca aktorka nigdy nie wykreuje Nony podobnej do pani. – Wyznał jej w pewne pochmurne popołudnie. I były dni, kiedy ta perspektywa zdawała mu się straszna.

– To nawet lepiej. Nie ma takiej potrzeby.

– Byłoby dobrze gdyby pani ją trochę podszkoliła - mogłaby to pani zrobić z łatwością, – kontynuował młody autor; w odpowiedzi, pani Alsager poprosiła, żeby nie żartował z niej w taki okrutny sposób. Ale była ciekawa dziewczyny, chciała słuchać jaki ma charakter, życie osobiste, jak żyje i gdzie, sprawiała wrażenie jakby pragnęła się z nią zaprzyjaźnić. Wayworth nie znał życia osobistego Violety Grey, ale po trzech tygodniach prób, był w stanie co nieco powiedzieć w tym temacie. Violeta była pełną wdzięku, dobrze prowadzącą się osobą, z wykształceniem, z ogładą, z bardzo nowoczesnymi gustami, utalentowana muzycznie. Po stracie rodziców wiodła raczej samotnicze życie, jedyni krewni, jacy jej pozostali to siostra, która wyszła za mąż za pewnego urzędnika państwowego (na wysoce odpowiedzialnym stanowisku) w Indiach i mała, kochana, staroświecka ciocia (z rodzaju tych wspaniałych cioć), z którą mieszkała w Notting Hill, a która pisała książeczki dla dzieci, a raz nawet, stworzyła Bożonarodzeniową pantomimę. Dom, w którym Violeta Grey mieszkała, miał wyraźnie artystyczny charakter - nie tak zamożny, jak dom pani Alsager (czy można porównywać rzeczy najmniejsze do największych?), ale bardzo wyrafinowany i porządny. Wayworth posunął się tak daleko, że zasugerował pani Alsager, że byłoby miło i szlachetnie z jej strony, gdyby ją odwiedziła, że może być pewna miłego przyjęcia. Pani Alsager często ulegała jego sugestiom aż rozwinął przyjemny nawyk oczekiwania, że jego sugestie będą uwzględnione: czyniło go to bardziej ostrożnym w wypowiadaniu ich. Ale ta sugestia zdała się zawieść z kretesem, więc porzucił pomysł zupełnie. Niemniej, pani Alsager wybrała się raz jeszcze do teatru i zaskoczyła go następnego dnia stwierdzeniem:

– Och, będzie ona naprawdę dobra w tej roli, naprawdę dobra. – W tych dniach, gdy mówili ona mieli na myśli Violetę Grey, chociaż udawali często, że mówią o Nonie Vincent.

– O, tak, – zgodził się Wayworth, – stara się tak bardzo.

Pani Alsager milczała przez chwilę; potem zapytała, trochę wyalienowanym tonem, tak jakby otrząsając się z zamyślenia:

– Naprawdę uważasz, że chce tego bardzo?

– Ogromnie. Wygląda na to, że była zafascynowana tą rolą od początku.

– Więc dlaczego nigdy tego nie powiedziała?

– Och, ona jest taka dziwaczna.

– Ona jest dziwaczna, – pani Alsager powtórzyła w zamyśleniu; i natychmiast dodała: – Ona jest w tobie zakochana.

Wayworth zrobił wielkie oczy, mocno się zaczerwienił, a potem wybuchnął śmiechem.

– Skąd taki dziwaczny pomysł? – zapytał; ale zanim jego rozmówczyni zdołała zadowolić go wyjaśnieniem w tym temacie, pytał dalej, skąd pani

Alsager może o tym wiedzieć. Po krótkim i wdzięcznym unikaniu odpowiedzi napomknęła, że poprzedniego wieczoru, w *Legitimate*, pani Beaumont, żona dyrektora, odwiedziła ją w loży; i zdarzyło się, w trakcie ich krótkiej pogawędki, że wyznała jej, że nigdy nie była za sceną. Pani Beaumont natychmiast zaoferowała się jako przewodniczka, a ona po prostu przyjęła zaproszenie. Oglądała wszystko z przyjemnością przez pewien czas, w pewnym momencie poprosiła swoją przyjaciółkę, aby przedstawiła ją Violecie Grey, która oczekiwała za kulisami na swoją partię w przedstawieniu. Pani Beaumont zostawiła je na trzy minuty same i w ciągu tego krótkiego czau, twarzą w twarz z aktorką, odkryła sekret biednej dziewczyny. Wayworth ocenił takie postępowanie jako bezduszne, ale domagał się szczegółów, które mogły doprowadzić do odkrycia. Oceniła jego ciekawość jako nieszczerą ze strony malarza kobiecych charakterów; a on niewiele dopomógł w swoim dociekaniu zauważając, że "kot też może spojrzeć na króla", że dobrze jest takie rzeczy wiedzieć. Ale nawet wtedy, pani Alsager przeciwstawiała mu się argumentując, że zdradzanie takich rzeczy może być bardzo niemiłe dla dziewczyny. Na co Wayworth, który zapewnił, że nie lubi rozmawiać o uczuciach, które swoim pisarstwem prowokował, odpowiedział, że przecież nie powinno to zrobić dla niej wielkiej różnicy.

– Jak możesz wiedzieć, co robi mi różnicę? – zapytała z osobliwym chłodem w głosie, z wyniosłością absolutnie wyjątkową dla jej łagodnej natury.

Gdy tego wieczora spotkał Violetę Grey w teatrze, to ona pierwsza wspomniała, że poznała jego przyjaciółkę.

– Ona jest w panu zakochana, – wyznała aktorka bez ogródek, a gdy okazał zaskoczenie, dodała: – Czy nic to panu nie mówi?

Zaczerwienił się jeszcze bardziej niż na opinię, jaką usłyszał od pani Alsager, ale odparł, szybko i bardzo na temat, że oczywiście setki kobiet umierają z miłości do niego.

– Ale to nie ma znaczenia, bo pan jej nie kocha, – kontynuowała Violeta.

– To także pani powiedziała? – zapytał Wayworth; ale ona właśnie musiała wracać do swoich obowiązków.

Stojąc w miejscu, z którego mógł ją obserwować, pomyślał, że dziś dodała czegoś więcej do sceny, którą uznawał za najlepszą w całej sztuce, pokazała rys głębszego niż dotychczas artyzmu, talentu, który mógł sprostać wymaganiom dramatu. Violeta nieustannie dodawała czegoś do swoich kwestii (dwa, trzy razy tego wieczora, ale raczej w kwestiach innego aktora), a on życzył sobie, żeby Nona Vincent również miała z tego jakąś korzyść. Ale okazało się, że potrafiła to robić dla innych, a nie dla niego, to znaczy nie dla Nony. Zdawał sobie sprawę, w tych dniach, z nowego, dziwnego uczucia, które mieszało się (i był to fragment osobliwości tego uczucia) z innym, starszym, bardzo naturalnym uczuciem żalu, że zrządzeniem losu, została ona aktorką sceniczną.

Nawet życzył sobie, w najcięższych chwilach, żeby zrezygnowała, ale zaraz potem opanowywała go ulga, że przecież widział u niej wystarczający talent żeby mieć nadzieję, że pójdzie ona z tą rolą dalej i wzniesie ją na tyle, aby zapewnić Nonie sukces. Przeżywał dziwne i bolesne chwile, gdy miał wrażenie, że prawie jej nienawidził jako interpretatorki Nony; ale potem, zapewniał sam siebie, że popada w przesadę, do tego stopnia, że ta awersja wydawała się czymś wielkim, gdy czuł zdenerwowanie, ale tylko poprzez kontrast z rosnącym w nim przekonaniem, że istniały powody, zupełnie innej natury, które sprawiały, że był z niej bardzo zadowolony. Zadowalał go jej urok – jej powaga i jej dziwactwa, jej zróżnicowanie charakteru, pewne sprzyjające cechy jej powierzchowności. Poza sceną, jej oczy wydawały się być smutne a głos nietypowy. Nienawidził myśleć, że mogłaby doświadczyć rozczarowania albo poniżenia jeśli sztuka przepadnie, czuł potrzebę, żeby dziewczynę uratować, uratować i przenieść w bezpieczne miejsce. Jedyny sposób aby ją uratować, był ten, aby zrobić wszystko, żeby sztuka odniosła sukces; ale z drugiej strony, jakkolwiek dziwne się to może wydawać, miał życzenie, aby sztuka okazała się fiaskiem. Wtedy, na przyszłość, pozostałby spokój i bezpieczeństwo, ale nie spokój jaki przynosi koniec, ale spokój, jaki można odnaleźć w odmiennym życiu. Trzeba dodać, że młody człowiek przychylał się do pierwszego sposobu na tyle mocno, na ile drugi kusił go. Był nerwowy, nerwowy do granic wytrzymałości; ale natychmiastowym lekarstwem było poświęcać się próbom, a przede wszystkim pracować nad Violetą Grey. Niektórzy aktorzy narzekali, że poświęca jej za dużo czasu, że pracuje tylko z nią, jakby była jedyną postacią w całej sztuce; a on odpowiadał, że może sobie pozwolić na zaniedbywanie innych, bo byli oni tak znakomici w swoich rolach. Ona była jedyną osobą z trupy, której nigdy nie komplementował.

Autor i aktorka oddali się pracy z takim zapamiętaniem, że Violeta nie miała za wiele czasu, żeby powrócić do tematu pani Alsager, którą jej wyobraźnia, zupełnie adekwatnie, wyparła w niebyt. Wayworth napomknął raz, że Nona Vincent była wzorowana na jego uroczej przyjaciółce; ale ona tylko zapytała: – Wzorowana przez kogo? – i nigdy więcej nie powracał do tematu. Z panią Alsager pozostawał w poufnych stosunkach i zwierzał jej się ze swoich niepokojów, a ona ze zrozumieniem odnosiła się do jego szczególnego rodzaju komplikacji. Jego niepewność zmieniała się z godziny na godzinę, a gdy znajdował jakąś ulgę w swoich wewnętrznych zmaganiach, była ona kilku różnych rodzajów. Pewnego popołudnia, gdy premiera zbliżała się coraz bardziej, pani Alsager, podając mu filiżankę herbaty i po wysłuchaniu jego skarg na nieprzespaną noc, powiedziała:

– Rzeczywiście, jesteś w fatalnej kondycji. Niepokój o kogoś drugiego potrafi być jeszcze cięższy do zniesienia niż niepokój o siebie samego.

– Kogoś drugiego? – zapytał Wayworth powtarzając jej słowa i zerkając

spoza krawędzi swojej filiżanki.

– Mój przyjacielu, niepokoisz się o Nonę Vincent, ale dużo bardziej o Violetę Grey.

– Dla mnie ona jest Noną Vincent.

– Nie, nie jest ani trochę! – odparła zdecydowanie pani Alsager.

– Naprawdę tak pani myśli? – Wayworth wykrzyknął, rozbryzgując z ust krople herbaty.

– To, co myślę nie ma większego znaczenia, chciałam tylko powiedzieć, co myślę. A myślę, że twój niepokój o aktorkę znacznie przewyższa w sile niepokój o sam dramat.

– Mogę tylko powtórzyć, że moja aktorka jest moją sztuką.

Pani Alsager spojrzała w zamyśleniu do wnętrza porcelanowego imbryka.

– Twoja aktorka jest twoją…

– Moją…? – młody człowiek zapytał z lekkim drżeniem w głosie, gdy jego gospodyni zawiesiła głos.

– Mój najdroższy przyjacielu. Jesteś w niej zakochany, to oczywiste. – Kładąc zdecydowanym ruchem pokrywkę na delikatne naczynie.

– Jeszcze nie, jeszcze nie! – roześmiał się jej gość.

– Ale będziesz, jak cię wciągnie.

– Może być pani pewna, że mnie nie wciągnie.

Pani Alsager zamilkła na chwilę, a potem miękko wyszeptała: – Życzę jej wszelkich sukcesów.

– Jest pani najszlachetniejszą kobietą, jaką zna świat! – wykrzyknął Wayworth; a potem zawstydził się takiej reakcji, którą trudno byłoby zakwalifikować do najbardziej taktownych.

Następnego ranka pani Alsager napisała do niego pięć, skreślonych w pośpiechu linijek. Oznajmiła, że została nagle wezwana do Torquay, do krewnej, która była poważnie chora; że pozostanie tam kilka dni, ale żywi szczerą nadzieję, że będzie mogła powrócić na premierę. Cokolwiek się zdarzy, ona życzy mu wszystkiego najlepszego. Brakowało mu jej ogromnie, bo były to ostatnie dni przed premierą i był to ogromny emocjonalny wysiłek, a Violeta Grey nie dawała mu tego komfortu, który mógł znaleźć u pani Alsager. Była ona nawet mocniej poddenerwowana niż on sam, taka blada i zmieniona, że obawiał się, że nie będzie w stanie wystąpić. Oboje doszli do wniosku, że tylko działają sobie na nerwy, że będzie lepiej, jeśli zostawi ją teraz w spokoju. Przerobili charakter Nony do takich szczegółów, że wydawało się, że nic już nie pozostało do zrobienia, teraz potrzebowała czasu, żeby się z tym oswoić. Zostawił Violetę Grey w spokoju, na tyle, na ile mógł sobie pozwolić, ale ona nie wytrzymała długo tego spokoju. Przyszła sama do niego z nowymi pytaniami, czekała na niego ze starymi wątpliwościami, i pół godziny przed próbą generalną, zaproponowała mu zupełnie inną wizję jego bohaterki. Wprawiło

go to w takie zakłopotanie i wpędziło w taki stan zagrożenia, że odwrócił się do niej plecami, nie wypowiedział ani słowa komentarza, opuścił teatr i popędził wzdłuż brzegu Tamizy aż do końca promenady. Potem wskoczył do bryczki, kazał się wieźć z powrotem do teatru, a gdy wreszcie dotarł, było już niemal po wszystkim. Okazało się, że, co było niemal rozczarowujące dla niego, sztuka poszła na tyle dobrze, że mógł znaleźć realne pocieszenie w dawnej teatralnej maksymie, że najgorsza próba generalna zaowocuje najlepszą premierą.

Przyszła środa i wszyscy mieli ciężki dzień, bo był to dzień pierwszego publicznego występu; w poniedziałek i wtorek nie było przedstawień. W środę, każdy robił, co mógł aby nie wchodzić innym w paradę i każdy po kolei wchodził. Dzień, aż do siódmej, był traktowany jako dzień odpoczynku, ale każdy pojawił się w teatrze dużo wcześniej, z wyjątkiem Violety Grey. Wayworth spoglądał na pana Lodera, a pan Loder spoglądał w kompletnie innym kierunku, na tym kończyła się ich konwersacja. Wayworth był jak na szpilkach, od tygodnia nie mógł ani jeść ani spać, chwilami ogarniał go prawdziwy horror. Ale starał się utrzymywać spokój, jak zwykle, wynajdując sobie różne zajęcia; próbował odmaszerować od swoich niepokojów. Po południu udał się w kierunku Notting Hill, ale jedyne, co mu się udało, to dotrzymać słowa aby nie ingerować w życie osobiste aktorki. Była jak akrobatka balansująca na końcu tyczki, której nie można dotknąć. Mijał jej drzwi trzy razy i myślał o niej trzysta. To w tej godzinie najbardziej odczuwał brak pani Alsager, która nie wróciła jeszcze z Torquay, jak mu powiedziano, gdy zapukał do jej drzwi. Było to dziwne, a jeszcze bardziej dziwne było to, że ostatnio w ogóle do niego nie pisała; ale nie był tego do końca pewny, bo niepokój o sztukę sprawił, że stracił niemal kontakt z otaczającym go światem. Jednak gdy wrócił do domu, znalazł telegram od damy z Grosvenor Place: “Powinnam być w Londynie o siódmej”. O ósmej trzydzieści, przez niewielki otwór w kurtynie teatru *Renaissance*, zobaczył ją w jej loży, otoczoną przyjaciółmi, promieniującą urodą i szczęśliwą. Był to naprawdę dobry teatr, aż czuł, że zbyt dobry na jego dramat; zbyt dobry na jakikolwiek dramat. Wszystko w tej chwili wydawało mu się zbyt dobre – scenografia, meble, stroje, nawet sam program. Przyszła mu do głowy myśl, że podobnie jest z kreatorką Nony - może ona jest po prostu zbyt dobra. Miał zorganizowane w każdym szczególe relacje z młodą aktorką na ten wieczór; i chociaż wszystko inne zmieniali nieustannie, zgodzili się nie zmieniać tego jednego wieczora. A było wiele rzeczy, które uzgodnili. Miał pozostać tylko do momentu jej wyjścia na scenę, potem miał opuścić teatr zupełnie i pozostać z dala aż sztuka dobiegnie końca. Zaklinał sam siebie żeby pozostać na dystans - miało to być dobre dla niej. Gdy wreszcie przyszła do teatru, była doskonale ubrana - zrobiła kilka drobnych zmian na lepsze od wczorajszej próby, wydawało się to tak oczywiste, to że rzeczy

ciągle się zmieniają. Zmieniały się także w jego głowie, gdy podążał do domu w czterokołowej bryczce, którą złapał zaraz po tym, jak kurtyna miała się podnieść. Mieszkał parę mil dalej i wybrał bryczkę, która była wolniejsza niż kabriolet, aby zabić więcej czasu.

Gdy wszedł do domu, ogień w kominku wygasł, pokój był zimny, położył się na sofie nie zdejmując płaszcza. Umyślnie posłał swoją gosposię na warsztaty krawieckie; nie chciał żeby go zasypywała pytaniami czy wymówkami. Dom wydawał się ciemną jaskinią, ulice opustoszałe tak, jakby wszyscy byli w teatrze podziwiając jego sztukę. Czuł się spokojny, jakby nie były to dwie godziny ale dwa tygodnie, i niewiele myślał, jak sztuka idzie. Możliwe, że nawet zdrzemnął się przez godzinkę; ale nawet jeżeli nie, czuł, że jeszcze zbyt wcześnie aby wracać do teatru. Usiadł przy lampie i próbował czytać – wpadła mu do ręki biografia, tomik z serii, jakiegoś męża stanu. Lektura zdawała mu się nadzwyczajnie błyskotliwa, zastanawiał się, czy przypadkiem sam nie powinien robić tego typu rzeczy: oczywiście nie politykę, ale pisanie krótkich biografii. Potem nagle sobie uświadomił, że musi się spieszyć, jeśli chce dotrzeć do teatru na czas - była za piętnaście jedenasta. Pozbierał się szybko i tym razem złapał na ulicy wygodny kabriolet, droższy, ale szybszy, jeśli zarobi na sztuce wystarczająco, będzie mógł sobie pozwolić na takie luksusy. Niepokój i niepewność ogarnęły go na nowo, gdy przemierzał drogę w szybkim tempie czuł nieprzyjemne reakcje w żołądku. Z nadmiaru emocji. Gdy wbiegł do teatru, jeden z pracowników, na którego się natknął, zaczął wykrzykiwać na jego widok:

– Szukają pana, sir, szukają pana wszędzie! – dopatrywał się jakiejś wyroczni w głosie i oczach mężczyzny, czy szukają go, żeby zlinczować? Ktoś popychał go w plecy i moment później podążał już w kierunku sceny. Z oddali, jego uszu dobiegły hałasy, które początkowo wziął za głośne rozmowy aktorów za płóciennymi ścianami tworzącymi nastrojowy pokój - scenografię ostatniego aktu dramatu. Ale aktorzy byli już za kulisami, otaczali go; kurtyna była opuszczona a oni wychodzili spoza niej. Publiczność ich wzywała, publiczność wzywała również jego, wszyscy go ponaglali – Dalej, dalej! – Był przerażony, sparaliżowany, nie potrafił zidentyfikować odgłosów dobiegających z widowni, ledwo słyszalnych w panującym rozgwarze i jego stanie emocjonalnym.

– Czy sztuka padła? Czy padła? – To było wszystko, co zdołał wykrztusić do ludzi, którzy go otaczali; a potem słyszał, jak mówią: – Wręcz przeciwnie! – ich głosy brzmiały sucho, zwodniczo, takie miał wrażenie, zdawało mu się nawet, że słyszy szyderczy śmiech, śmiech z pokonanego i zniszczonego. Nagle, choć wszystko, co się działo nie trwało dłużej niż krótki moment, Loder wyskoczył na niego jakby spod ziemi, krzycząc:

– Wielkie nieba! Nie daj im dłużej czekać, bo przestaną!

– Ale ja nie mogę tak po prostu tam wyjść! – odkrzyknął Wayworth przerażony; wydawało mu się, że odgłosy już ucichły. Loder pochwycił go i zaczął popychać w stronę sceny; oparł się szukając wzrokiem Violety Grey, która jedynie mogła powiedzieć mu prawdę. W międzyczasie za kulisami zrobiło się tłoczno, wszyscy z dziwacznymi grymasami na twarzach, ale nie widział między nimi Violety i to też przerażało go. Wypowiedział jej imię z naciskiem, którego później żałował, ten ton musiał ich oboje zdradzić przed innymi; i gdy Loder popychał go przed kurtynę, ktoś powiedział: – Gdzieś zniknęła, po tym, jak została wywołana na scenę. A więc była wywołana na scenę, ta świadomość uderzyła go najmocniej, gdy wreszcie znalazł się przed kurtyną i publicznością, w świetle reflektorów, gapiąc się niewidzącym wzrokiem na widownię w kształcie podkowy, witany oklaskami, które teraz wydawały mu się głośniejsze niż zasłużył i cichsze niż pragnął. Szybko wszystko się uciszyło, ale miał wrażenie, że minęły wieki zanim mógł wrócić za kulisy, zanim mógł, swoją koleją, pochwycić dyrektora i wykrzyknąć ostro:

– Czy naprawdę przepadła, naprawdę?

Pan Loder spojrzał na niego twardym wzrokiem i odpowiedział po chwili:

– Sztuka poszła dobrze!

Wayworth wpatrywał się w jego usta.

– Więc w czym problem?

– Musimy coś zrobić z panią Grey.

– Co z nią złego?

– Nie ma jej!

– Ma pan na myśli zawiodła?

– Tak, do diabła, zawiodła!

Wayworth patrzył na niego.

– Więc jak to możliwe, że przedstawienie jest w porządku?

– Och, nie jest aż tak źle.

– Gdzie jest pani Grey, gdzie ona jest? – pytał młody autor.

Loder pochwycił go za ramię, gdy ten obrócił się po raz kolejny, szukając swojej bohaterki.

– Nieważne teraz, ona wie o tym!

Do Waywortha podszedł mężczyzna, którego znał jako jednego z przyjaciół pani Alsager, widział go wcześniej w jej loży. Pani Alsager chciała spotkać szczęśliwego autora; pragnęła bardzo szczerze, aby ją zaszczycił i porozmawiał z nią. Wayworth najpierw upewnił się, że Violeta opuściła teatr, jedna z aktorek powiedziała mu, że widziała ją ubierającą płaszcz, bez przebierania się, a potem dowiedział się, że zaraz potem odjechała powozem razem ze swoją ciocią. Pragnął zaprosić pół tuzina osób, włączając panią Grey i jej starszą krewną, na kolację; ale ona nie chciała niczego obiecać wcześniej (obawiała się, że sztuka zawiedzie i będzie dla niej zbyt trudno

to znieść), więc cały plan zawiódł już przed premierą. Stwierdził, że jest uparta, ale nic nie zmieniło jej decyzji. Posłaniec od pani Alsager oświadczył mu, że jest zaproszony do Grosvenor Place na kolację, pół godziny później, siedział tam pomiędzy zachwyconymi ludźmi, bukietami kwiatów i strzelających korków od szampana, spożywając pierwszy gorący posiłek od tygodnia. Pani Alsager zabrała go swym lekkim powozem, zostawiając gości samym sobie. Przerwał jej szybko, gdy tylko zaczęła wychwalać, jak bardzo wszyscy byli pod wrażeniem jego dramatu i wypytywał o Violetę Grey. Czy zepsuła przedstawienie, naraziła na porażkę, ośmieszyła, czy była tak zupełnie zła pod każdym względem?

– Muszę powiedzieć, że przedstawienie miałoby szansę być lepsze, gdyby ona była lepsza. – Wyznała pani Alsager.

– Pomogłoby całej sztuce, gdyby jej występ był lepszy. – Powtórzył Wayworth ponurym głosem, wciśnięty w narożnik powozu.

– Robi co może, ma talent, wyglądała uroczo. Ale ona nie rozumie Nony Vincent. Nie widzi ani typu ani osoby, nie widzi kobiety, którą stworzyłeś. Nie udało jej się wejść w sztukę, wykreowała zupełnie inną postać.

– Kobieta, którą stworzyłem! – młody człowiek wykrzyknął, kierując wzrok na londyńskie latarnie, które przesuwały się po krawędzi ulicy. – Życzyłbym sobie, żeby znała panią lepiej, – dodał, gdy powóz zatrzymał się. Zanim weszli do domu, powiedział do swojej towarzyszki:

– Obawiam się, że z nią nie przetrwam.

– Wybacz jej, bądź dla niej miły, – powiedziała uspokajająco pani Alsager.

– Ja tylko jej podziękuję. Przedstawienie może iść do diabła.

– Jeszcze zobaczymy, zobaczymy. – Zaczęła wpatrzona w niego.

– I cóż zobaczymy?

Nie była w stanie dokończyć, bo goście otoczyli ich i zdążyła tylko wykrzyknąć:

– Nie pójdzie do diabła!

Opuścił przyjęcie przed innymi, wyczerpany pragnieniem udania się do Notting Hill, nawet jeszcze tego dnia, pomimo późnej pory, prześladowany myślą, że to koniec Violety Grey. Gdy jednak dotarł do ulicy, inne myśli zmieniły jego nastawienie; uzmysłowił sobie, że budzenie jej o drugiej nad ranem nie pomoże jej w odzyskaniu nerwów. Następnego dnia sprawdził recenzje w sześciu gazetach i nie znalazł w nich ani jednego pochlebnego słowa o niej. Sama sztuka została odebrana przychylnie, ale wszystkie podkreślały rozczarowanie spowodowane grą młodej aktorki, której wcześniejsze występy dawały większe nadzieje, na której spoczęła duża część odpowiedzialności za cały dramat. Wszyscy dociekali co było powodem tak słabego występu, jednym głosem dowodzili, że sztuka, która nie była bez nadziei, ucierpiała (wszyscy użyli tego samego słowa) poprzez niecodzienny brak kompatybil-

ności między tytułową bohaterką a jej interpretatorką. Wayworth udał się do Notting Hill z samego rana, ale nie zabrał ze sobą gazet; Violeta Grey mogła posłać po nie i nasycić swoją ciekawość sama. Odmówiła widzieć go, posłała tylko słowo za pośrednictwem swojej cioci, że czuje się wyjątkowo źle i nie będzie w stanie zagrać tego wieczora, chyba że ją zastawią samą i spędzi dzień w łóżku nie niepokojona. Wayworth spędził godzinę w jej domu, rozmawiając ze starszą panią, która rozumiała problem bardzo dobrze, z którą mógł rozmawiać otwarcie. Zarysowała przed nim obraz stanu swojej siostrzenicy, który jawił mu się tym wyraziściej im prostszych słów użyto do jego przekazania:

– Ona uważa, że nie jest wystarczająco dobra, rozumie pan, uważa, że nie jest dobra.

– Niech jej pani powie, że to nie ma znaczenia, to nie znaczy zupełnie nic, – zapewniał Wayworth.

– Ale ona jest taka dumna, pan sam wie jaka ona jest dumna. – Kontynuowała starsza pani.

– Proszę ją zapewnić, że ja jestem najzupełniej usatysfakcjonowany, że akceptuję ją z wdzięcznością dokładnie taką, jaka jest.

– Ona utrzymuje, że szkodzi pańskiej sztuce, że ją rujnuje, – odpowiedziała.

– Ma jeszcze czas żeby dopasować się do tej roli. – Ciągnął młody autor.

– Dopasowałaby się, gdyby wiedziała jak, ale ona mówi, że nie wie. Dała z siebie wszystko i nie wie, co jeszcze mogłaby zrobić.

– To, co może zrobić jest bardzo proste, niech mi zaufa i idzie dalej.

– Ależ jak ma panu zaufać, jeśli jest przekonana, że pana traci?

– Traci mnie? – Wayworth wykrzyknął.

– Pan nigdy jej nie wybaczy, jeśli przedstawienie będzie zdjęte.

– Przedstawienie będzie szło przez następne sześć miesięcy. – Zapewnił autor sztuki.

Starsza pani położyła dłoń na jego ramieniu. – A co pan zrobi, jeśli sztuka upadnie?

Przez chwilę przyglądał się cioci Violety Grey.

– Powiedziała pani, że jej siostrzenica jest taka dumna?

– Zbyt dumna dla tej niewdzięcznej profesji.

– Więc z pewnością nie życzy sobie, żeby mnie pani o to pytała. – Wayworth odpowiedział i wstał do wyjścia.

Gdy dotarł do domu czuł się potwornie zmęczony, jak na kogoś, kto mógł zakładać, że odniósł pewien sukces ale spędził bardzo ponury dzień. Cały zapał opuścił go, a opanowało go zmęczenie i przygnębienie. Usiadł w swoim starym fotelu przy kominku i został w nim, z przymkniętymi powiekami, przez parę godzin. Jego gosposia przyszła z posiłkiem i aby dodać do ognia,

ale on udawał, że śpi, żeby uniknąć rozmowy. Sen faktycznie ogarnął go niebawem, bo zanim zapadł zmierzch, doświadczył niezwykłego wrażenia, wizyty z innego świata. Nona Vincent, jak z krwi i kości, żyjąca bohaterka jego sztuki, stanęła przed nim w jego małym pokoju, przysiadła obok niego przy kominku. To nie była Violeta Grey, to nie była pani Alsager, to nie była żadna kobieta, jaką znał na tym świecie, raczej pomyślałby, że to jakieś uosobienie przyjaźni albo pokuty. Ale z drugiej strony czuł, że ta postać była mu bliższa niż jakakolwiek kobieta, którą znał; poza tym była niewysłowienie piękna i miła. Wypełniła jego pokój swoją obecnością, wnosząc ukojenie, jak uspokajający środek. Była cicha, jak kochająca siostra i wydawało się takie oczywiste, że znajdowała się w tym pokoju.

Nigdy nie doświadczył czegoś podobnego z tak uderzającą siłą autentyczności. Czuł jej rękę dotykającą jego dłoni, wszystkie jego zmysły otwarły się na nią. W zadziwiający sposób jawiła mu się zarówno jako jego własna kreacja, jak i jego inspiracja, doświadczył przy niej pełnego słodyczy uczucia zwycięstwa. Jeśli była tak zniewalająco czarująca, w tym czerwonym świetle ognia w kominku, to musiał to być efekt jego twórczego potencjału, on mógł ją taką wymyślić, ale ulga, jaką odczuwał po swoich cierpieniach, mogła być tylko jej zasługą. Jej głębokie spojrzenie mówiło o bezpieczeństwie i wolności, o świetlanej przyszłości. Od czasu do czasu uśmiechała się mówiąc:

"Ja żyję, żyję, żyję."

Jak długo pozostała, nie potrafił powiedzieć, ale gdy jego gosposia weszła nagle do pokoju z lampą gazową w ręku, Nony Vincent już tam nie było. Przetarł oczy, ale żaden sen nie mógł być taki intensywny; i gdy powoli wstawał ze swojego fotela, był przepełniony radością, radością artysty, przekonanego o trafności swojej kreacji, o tym jak precyzyjnie stworzył tę postać. Przyszła, żeby mu to pokazać. Jednak po pięciu minutach, gdy obudził się całkowicie, wezwał swoją gosposię jeszcze raz, aby zadać jej pewne pytanie. Pytanie, które w oczywisty sposób samo cisnęło się na usta:

– Czy była tu jakaś kobieta?

– Nie, proszę pana, nie było żadnej kobiety.

Gosposia wydawała się nieco wystraszona.

– Nie było pani Vincent?

– Pani Vincent, sir?

– Młodej bohaterki z mojego dramatu, przecież wiesz.

– Och, ma pan na myśli Violetę Grey.

– Nie, nie Violetę. – Zaczął, ale zreflektował się szybko. – Mam na myśli pani Alsager.

– Nie było tu pani Alsager, proszę pana.

– Ani nikogo podobnego do niej?

Kobieta przyglądała mu się przenikliwie, starając się dociec, czy przypadkiem nie dostał pomieszania zmysłów. Potem zapytała lekko urażona:

– Czy gdyby ktoś pana odwiedził nie powiedziałabym panu o tym?

– Może nie powiedziałaś bo myślałaś, że śpię.

– Rzeczywiście, spał pan, gdy przyszłam z lampą, dobrze pan sobie na sen zasłużył, panie Wayworth.

Gosposia pojawiła się godzinę później, przynosząc mu telegram; krótko przed tym, jak zbliżała się pora aby iść do teatru.

"Spotkamy się dziś wieczorem przed wejściem, nie zbliżaj się do mnie aż się skończy!"

W takich słowach Violeta Grey zakomunikowała mu swoje życzenie na zbliżający się wieczór. Zastosował się do żądania dosłownie; obserwował jej występ z odległej loży. Nie był w stanie wysłowić, jak bardzo czuł się pokonany poprzedniej nocy, ale to, co zobaczył w ciągu tych czarujących godzin, wypełniło go podziwem i wdzięcznością. Ona była w tej roli tym razem; pozbierała się jakoś, zawładnęła sama sobą, wszystko, co robiła było w pełni udane. Świeżo po swoim mistycznym doświadczeniu z Noną, potrafił ocenić to lepiej, a gdy ocenił, popadł w zachwyt. Był podekscytowany i zupełnie uwiedziony, ogarnęła go ciekawość odgadnięcia, co sprawiło w niej tę przemianę, jak umiała w ciągu kilku godzin osiągnąć ten poziom zawodowstwa, który przyniósł taką zasadniczą zmianę. Wyglądało to tak, jakby to ona raczej przeżyła inspirujące spotkanie z Noną, tak przekonująca była jej interpretacja, gdy wreszcie udało jej się tchnąć ducha w postać bohaterki. Powstrzymywał się w antraktach - mógł z nią rozmawiać dopiero po zakończeniu przedstawienia; ale zanim sztuka dobiegła końca, dyrektor wbiegł do jego loży.

– To niewiarygodne, co ona potrafi! – wykrzykiwał Loder, zdawał się bardziej zaskoczony niż wdzięczny. – Musiała tę rolę przerobić na nowo, taka świeżość w interpretacji!

– Czy to znaczy, że wczoraj było inaczej? – zapytał Wayworth, całkowicie zgadzając się z dyrektorem.

– Inaczej? Porównaj Hyperiona z Satyrem! To piekielnie dobre, mój chłopcze!

– Piekielnie dobre, – powtórzył Wayworth, – i w zupełnie innym tonie niż w trakcie prób.

– Będę trzymał przedstawienie przez następne sześć miesięcy. – Zadeklarował dyrektor i pośpieszył z powrotem do aktorki, pozostawiając Waywortha w przekonaniu, że czuje się wybawiony z kłopotów.

Violeta Grey odniosła również wspaniały, osobisty sukces u widowni.

Po zakończeniu przedstawienia udał się za kulisy, musiał na nią czekać; pokazała się dopiero, gdy była gotowa opuścić teatr. Jej ciocia towarzyszyła jej w garderobie i obie panie pojawiły się razem. Dziewczyna minęła go w

pośpiechu, dając gestem do zrozumienia, że nie chce nic słyszeć zanim znajdą się na zewnątrz. Widział jak bardzo była podekscytowana, wznosząc się ponad zwykły artystyczny poziom. Starsza pani powiedziała mu: – Musisz do nas przyjść na kolację: wszystko już zorganizowane. – Mieli powozik z trzecim siedzeniem i zabrał się razem z nimi. Minęło sporo czasu zanim aktorka przemówiła. Siedziała wciśnięta w swój narożnik, nieruchomo, kołysząc się, jak wzbierające morze, ze świadomością sukcesu w oczach, które świeciły jasno w otaczającym ich mroku. Starsza pani nie mówiła nic, z podziwu, a może z dyskrecji, a Wayworth czekał cierpliwie. Musiał czekać aż dotrą do Notting Hill, gdzie starsza dama musiała dopilnować przygotowań do kolacji.

– Było lepiej, znacznie lepiej, – powiedziała Violeta Grey, zrzucając z siebie płaszcz w przedpokoju.

– Lepiej? Była pani uosobieniem doskonałości! I to samo będzie w następnych przedstawieniach, czy tak?

Uśmiechnęła się do niego.

– Następnych? Wątpię, żeby czar spełniał się codziennie.

– Co ma pani na myśli?

– Miałam widzenie.

Wayworth spojrzał zaskoczony.

– O której godzinie?

– O najbardziej odpowiedniej godzinie, po południu. Dokładnie na czas, żeby mnie ocalić i ocalić ciebie.

– Piąta po południu, czy tak? Chce pani powiedzieć, że ktoś panią odwiedził?

– Przyszła do mnie i została całe dwie godziny.

– Dwie godziny. Kto? Nona Vincent?

– Pani Alsager, oczywiście. – Uśmiechnęła się jeszcze bardziej. – Ale to na jedno wychodzi.

– I jak… panią ocaliła?

– Pozwalając mi spojrzeć na nią. Pozwalając mi słuchać jej. Dając mi się poznać.

– A co powiedziała?

– Same miłe rzeczy, dodające otuchy, mądre.

– Ach, wspaniała kobieta! – wykrzyknął Wayworth.

– Powinien ją pan bardziej szanować, ona pana bardzo lubi. A mi dała dokładnie to, czego potrzebowałam. – Dodała.

– Chce pani powiedzieć, że rozmawiała z panią o Nonie?

– Powiedziała, że chciał pan, aby była podobna do niej. Ona jest, ona jest wyjątkowa.

– Ona jest wyjątkowa, o tak, – powtórzył. – Czy to znaczy, że dała pani jakieś wskazówki?

– Och nie, ona tylko powiedziała, że byłoby jej bardzo miło, gdyby spotkanie z nią dopomogło mi. I czułam, że mi dopomogło. Nie wiem, co się stało, ona tylko tam siedziała i trzymała mnie za rękę uśmiechając się do mnie, miała takt i wdzięk, była w niej dobroć i piękno, zdołała uśmierzyć moje nerwy i zainspirować moją wyobraźnię. W jakiś sposób zdawała się dawać pewność siebie i oparcie zarazem. A ja pewności siebie potrzebowałam. Miałam ją cały czas przed oczami, w mojej głowie, sprawiała wrażenie przenikającego myśli ducha. Pierwszy raz, od czasu, gdy zaczęłam studiować tę rolę, miałam swój model, mogłam ten model skopiować. Wróciła cała moja odwaga i zrozumiałam rzeczy, których nie rozumiałam wcześniej. Była inna, wspaniała; jak powiedziałam, była moim natchnieniem. Pocałowała mnie na pożegnanie w taki podniosły sposób, jak matka. Mówiła też o panu. Nawet się pan nie domyśla jak bardzo pana lubi! – Zakończyła Violeta Grey.

Wayworth nie wiedział co powiedzieć, był zdziwiony słowami Violety, ogarnięty poczuciem oszołomienia.

– Czy miała na sobie powiewną, kolorową suknię? – zapytał po chwili.

Violeta Grey spojrzała na niego zaskoczona, potem kazała mu przejść do salonu na posiłek.

– Zna pan doskonale jej kreacje!

Przy stole pozostawał w doskonałym nastroju, ale milczący i nieco za bardzo poważny. Oświadczył, że nazajutrz wybiera się w odwiedziny do pani Alsager. Tak też uczynił, ale przy wejściu oznajmiono mu, że wyjechała do Torquey. Pozostała tam całą zimę i całą wiosnę. Gdy spotkał ją następnym razem, jego sztuka świętowała dwóchsetne przedstawienie, a on w międzyczasie poślubił Violetę Grey.

Alan Wayworth pisze dalej dramaty, które cieszą się umiarkowaną popularnością, ale jego żona nie występuje w nich, ani w żadnych innych. Pani Alsager pozostaje wierną wielbicielką jego sztuki.